



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

MARYA MITCHELL.

Do rzędu najznakomitszych kobiet naszej epoki zaliczyć trzeba Maryą Mitchell, uczoną astronomkę, zmarłą w Nowym Yorku d. 28 Czerwca bieżącego roku, a której Ameryka, ojczyzna jej, wznosi obecnie pomnik, jakkolwiek pamięć o niej nie przestanie żyć między ludźmi przez ślad, jaki zostawiła po sobie w nauce.

Była to zarazem szlachetnie piękna postać kobiety dobrej, z tklivem sercem w czystej, uczciwej piersi, a obraz takiej harmonii uczucia i wyższości umysłowej, tworzy razem całość, która obudzić musiała obok uszanowania i sympatyą, pragnącą teraz oto ujawnić się tak u pojedynczych jednostek, jak i w wielkiej grupie jej narodu przez wyraz czci pośmiertnej, żądającej dla siebie możliwego na ziemi utrwalenia. Zmarła otrzymała to w bronzie, czy w marmurze, a obok tego życie jej, w spokojnej, cichej historii swojej pozostanie jako piękny wzór takiej kobiecości, która umiała i bogactw ducha swego nie zatracić i wszystkim obowiązkom życia zadosyć uczynić. Urodzona d. 1 Sierpnia 1818 r., w Nantucket, w Stanie Massachusetts, pochodziła tak po ojcu, jak po matce z rodziny kwakrów, to jest z rodu ludzi poważnych, enoty surowej, a których umysł podnosi się ku niebu przy każdym czynie ich życia. Można przypuścić, że matka odumarała ją w dzieciństwie, bo w historii jej wychowania i pierwszej młodości nie znajduje się żadnego o tej matce wspomnienia i jest to ojciec tylko, którego wpływ działa wybitnie, bo pociągająca za sobą umysł młodego dziewczątka w sferę nauki, bardzo rzadko uprawianej przez kobietę

a mającej stać się zajęciem i celem głównym całego jej życia.

Może też matka ta była tylko cichą, skromną istotą, spełniającą przeważnie to zadanie swoje u ogniska domowego, aby dziecko chowało się tam zdrowo, bez skazy żadnej na młode sercu, bez plamy na młodej wyobraźni i może temu-to nagięciu pierwszemu zawdzięczała potem kobieta uczona swoje skromność, cichość i te domowe enoty niewieście, które cechowały jej życie, nie przynosząc przecież szkody, ujmą żadnej umysłowi. Ze niemniej umysł ten od dzieciństwa niepróżnował i był chciwym wiedzy, — świadczy o tem to, co sama we wspomnieniach młodych lat swoich wyznaje:

— „Mieliliśmy zawsze dość książek i byliśmy książkowymi ludźmi (We were bookish people). W Nantucket była biblioteka publiczna, założona jeszcze przed urodzeniem mojem; płaciliśmy zawsze na rok dollara i czytali, uczyli się z książek tamtejszych. Pamiętam, że znajdowały się tam dzieła Hanny Moore i Historia Starożytna Rollin'a — pamiętam, że ja i Karol Folger (później minister skarbu w rządzie Stanów Zjednoczonych) czytaliśmy to ostatnie dzieło, nie mając skończonych lat dziesięciu“.

Nie szkodził to zgola dzieciom, jeżeli czytać będą nie z przymusu, ale przez ciekawość własną książki, nie dla nich umyślnie pisane, byle szlachetne wzory życia stawiające im przed wyobraźnią młodą i stwierdza to nie ten jeden przykład. Dziewczę rozwijało się też umysłem tak wcześnie, tyle w ten umysł już garnęło sobie, że mając lat jedenaście, stała się asystentem ojca przy obserwacjach astronomicznych, którym ojciec ten poświęcał się z zamiłowaniem, dziedzicznie przekazane córce, tak jak on sam wziął je w spadku po ojcu swoim, Wiliamie Mitchell. W tym-to wieku, jedenastoletnia, obserwowała wraz z ojcem moment zaczynającego się i kończącego zaćmienia księżyca — on, czuwając

u teleskopu, ona przy chronometrze. Miała lat ośmnaście, gdy została przypuszczona do naukowego stowarzyszenia w mieście swoim rodzinem: „Ateneum“, bo oddawała się już teraz na własną rękę czynionym obserwacjom mgławic i komet, wyrabiając sobie powoli reputacyą naukową, która stała się nagle sławą, gdy 1 Października, 1847 r. odkryła kometa i otrzymała złoty medal od króla duńskiego, który zamilował też w badaniach astronomicznych, urządził konkurs w zakresie teleskopicznej obserwacji komet. Trwał on bez skutku lat szesnaście, i oto kobieta, panna, stosunkowo do innych badaczy na tem polu młoda, bo miała wtedy rok dwudziesty ósmy, została tryumfatorką, rozślawiając się nagle przez to i stając się odrazu znaną całemu naukowemu światu, z którym już teraz związana została przez korespondencyę, pisywane do wydawnictw specjalnych i świadczące z jednej strony o zamiłowaniu prawdziwym, z drugiej, o poważnym charakterze kobiety, która nie zatraciła zamiłowania tego wśród życia, otwierającego jej teraz szeroko, przy pozyskanym rozgłosie, bramy używania go w sposób inaczej zajmujący, niż patrzenie samotne w niebo gwiazdziste.

Jakiem było ono dla niej, jako dla istoty czującej: przez co przechodziło serce jej kobiece? nie wiadomo. Nie rozłączała się z ojcem, żyła w rodzinie i oprócz tego, co pisywała, i honorów naukowych, jakie spadały teraz na nią, nie zaznały się jej istnienie przez przeciąg lat dziesięciu niczem, coby doszło do wiadomości publicznej. W 1852 r. senat szkoły wyższej: *Hannover College*, przyznał jej godność doktora, stała się członkiem honorowym rozmaitych towarzystw naukowych, które jej przysyłały dyplomy i komplementa, była pierwszą kobietą, którą Akademia Bostońska „American Academy of Arts and Sciences“ przypuściła do grona członków swoich. W r. 1857 udała się w podróż przez Atlantyk, przybyła do Europy i, jeżeli to, co jest sławą, może się

nazywać szczęściem, to otrzymała go czarę pełną po brzegi. Postanowiła zbudować w mieście swym rodzinnym, które zawsze było miejscem jej stałego zamieszkania, w Nantucket, obserwatorium astronomiczne i teraz zwiedzała wszystkie sławniejsze zakłady takie, aby zyskać dla przedsięwzięcia swego najdoskonalszą znajomość rzeczy. Londyn był tu pierwszą stacją i pierwszym miejscem honorów, jakimi obsypywała ją Europa.

Sir Jerzy Airy, dyrektor obserwatorium londyńskiego: „royal astronomer“, według starego tytułu, które Anglia zachowuje, jak wszystkie inne tak w naukowych, jak politycznych zawodach, mąż uczony i przez zasługi na tem polu podniesiony do godności lorda i para, przyjmował ją z takimi zaszczytami i razem tak serdecznie, że musiała przez czas pobytu swego w Londynie gościć w jego domu. Poznała się też z inną uczoną i sławną kobietą, M-rs Sommerville, autorką dzieła: „The Mechanism of Heavens“ (Mechanizm Nieba) a która przygotowywała właśnie wtedy do druku nową pracę: „The Connection of the Physical Sciences“ (Związek nauk fizycznych) a które to dzieło, wydane w rok później, miało dziewięć wydań i postawiło jego autorkę w pierwszym rzędzie uczonych europejskich. Dwie te kobiety mogły, a nawet musiały, sympatyzować ze sobą, bo obok zamięłowań naukowych, obie przedstawiały szlachetnie piękne osobistości, niekorzystające ze swego wyjątkowego wśród kobiecości stanowiska, aby odrzącić od siebie te prawa, które stanowią moralny kodeks niewieści. Zostały też przyjaciółkami, jakkolwiek była między nimi przegroda pewna: republikańska amerykańska spotykała się z kobietą najwyższych sfer arystokratycznych; ale w takich umysłach, jak Maryi Sommerville, nie pokutują przesady rodowe, zwłaszcza, gdy chodzi o osobistość odzianą taką godnością naukową i sławą taką, jaką posiadała ta amerykańska. Łączyła je przytem wspólność poglądów na świat i zaświat, gdyż M-rs Sommerville należała religijnie do sekty purytanów, bardzo blizkiej kwaków i dwie te uczone przyrodniczki, były zarówno wychowane bardzo pobożnie i pozostały pobożnymi przez życie całe, a silna wiara w Boga nie przeszkadzała im bynajmniej do badań natury, wśród której Bóg ten świecił jedynie jako słońce ponad słonecami.

Najczulszy przeciwieństwo stosunek, zawarty w Europie, a który pozostał stałym i dał życiu Maryi jeden promień tego ciepłego światła, którym życie ludzkie darzy przyjaźń dwóch równych sobie serc i umysłów, zawiązała amerykańska podróżniczka z Herschlem. Korrespondowano potem ze sobą. Herschel udzielał jej rad i wskazówek co do budowy obserwatorium w Nantucket i żywo się interessował tym przedsięwzięciem. Wśród spuścizny Maryi Mitchell znajdzie się zapewne ta korespondencja, mieszcząca między innymi jeden zwłaszcza bardzo długi list, ogólnego dla nauki interessu w przedmiocie wspomnianej sprawy budowy obserwatorium.

Po Londynie, po Anglii, zwiedziła podróżniczka amerykańska Paryż, gdzie poznała się z Leverrier'em, dalej Berlin, gdzie udała się przeważnie dla poznania się z Humboldtem.

W 1877 r. została zaproszoną do wykładania astronomii w kobieciej szkole wyższej Kollegium Vassar i objęła tam zarazem posady dyrektora obserwatorium, które-to obowiązki spełniała do Stycznia 1888 r. i przyczem kobiecie jej serce wiązało się tkliwie z rzeszą młodych dziewcząt, które garnęły się do niej, widząc w jej osobie urzeczywistnienie nadziei swoich wśród życia, które wiedzionem-by być mogło szczęśliwie i zaszczytnie o własnej sile nauki i pracy. Czy przeciwieństwo każda z nich otrzymała na posag życia takiesame, jak ona, zdolności wyższe? Czy wreszcie i ona nawet, ona, ta obdarowana, nie przyznała-by w szczerej spowiedzi serca swego, że to zamało jeszcze dla szczęścia i że, rodząc się raz drugi na świat, wolała-by wybrać takie, jak jej siostry młodszej, istnienie w rodzinie—ciche, szczęśliwe istnienie, ogrzane dawaną i odbieraną miłością?

Jedna z jej uczennic w Vassar College ogłosiła w amerykańskim czasopiśmie *Boston Women's Journal* wspomnienie, jak miłą, dobrą, jak wdzięczną w stosunkach swych codziennych z lu-

dźmi była ta uczona kobieta. Wyprawiała ona co rok dla słuchaczek wykładów swoich balik mały: „The Dome Party“ bo przyjmowała zaproszone w sali kopuły obserwatorium, pod wielkim teleskopem. Bawiono się tam wybornie, a obok uczt złożonej z rozmaitych chłodników i przysmaków, wyprawianą tam była biesiada duchowa: lady profsorka i uczennice jej improwizowały wiersze, prowadziły w ten sposób dialogi pełne wesołości, śmiechu, żartów i oklasków, a biorąc w nich niegdyś udział autorka wspomnień pisze, że był to obraz niewypowiedzianie wdzięczny i sympatyczny pociągający, gdy ta kobieta sławna, kobieta głębokiej nauki i siwowłosa już, otoczona tłumem wesołych, świeżych dziewczątek, śmiała się i żartowała z nimi jak ich rówieśniczka. Autorka wspomnień czyni tu oryginalne nieco porównanie jakgdyby „granitowego kompasu, otoczonego klombem róż kwitnących“. Uczennice kochały ją i szanowały jak matkę i gdy czas rozejścia się z owej dorocznej ucztą nadchodził, zwykle jedna z uczennic, obdarzona muzycznym głosem, biegła na wyższe piętro i tam, w najbliższym już sąsiedztwie gwiazd, śpiewała pieśń, skomponowaną na jej cześć przez studentki wydziału astronomicznego: „Good Woman Song“, a która choć nie zupełnie odpowiadała regułom poetyki, wyrażała jednak żywo, jak kochaną jest serdecznie przez uczennice swoje „dobra kobieta“.

„Nie sławną, nie uczoną, uwielbiano tu gorąco, ale dobrą“ — pisze autorka wspomnień.

Wracając do jej przeszłości młodszej, należy się nie ominąć rysu. malującego jej serce: wielkiej miłości dla ojca i opieki dawanej przez nią jego starości, gdy sędziwy potrzebował tklivego i serdecznego zajęcia się sobą. Kochała również uczuciem silnem siostrę młodszą i jej dzieci. Gdy zmęczona już pracą ustąpiła z posady zajmowanej w Vassar College, zarząd kollegium chciał jej tam dać aż do śmierci miejsce profsorki emerytki, czyli wygodne, spokojne dożywocie; ale ona podziękowała za to. Kochała tklive siostrę i jej dzieci—pragnęła ciepła rodzinnego ogniska i w stronach rodzinnych, bo w Stanie Massachusetts, w mieście Lynn, gdzie mieszkała ta siostra, nabyła mały domeczek, urządziła w nim sobie mieszkanko zaciszne a kochającą zawsze naukę miłością wierną, zbudowała tam sobie małe obserwatorium, ale siły zaczęły ją opuszczać, aż przypadek przyspieszył śmierć. Upadła tak nieszczęśliwie, sięgając po książkę w bibliotece, że przyspieszyło to śmierć. Sędziwą już też była i należał się jej odpoczynek. Jeżeli były w tem sercu jakie smutki i tęsknoty, grób je uciszył, duch uszedł w tej krainie gwiazd, ku której myśl wybiegała od młodu.

Marya Ilnicka.

Słoneczne strony życia.

(Dalszy ciąg).

Przyjaźń jest potrzebą życia ludzkiego, ale trzeba być staranniejszym jeszcze w utrzymaniu, niż w zawieraniu przyjaźni. Należy nam pilnować się w mowie naszej o przyjaciółach i Pascal twierdzi, że nie byłoby czterech przyjaciół na świecie, gdyby ludzie wiedzieli wszystko, co wajemnie mówią o sobie. Lubbock sądzi, że zdanie to jest przesadzonym, niemniej dodaje, że trzeba pamiętać w życiu o tej przestrodze, bo często słowo lekkomyślnie, meuważnie wymówione, przyprowadza nas o utratę przyjaciela. Kto go sobie umiał pozyskać, niech i zachować go potrafi. Z przyjaciółmi trzeba obcować, aby nie wkraść się zobojętnienie, i rozumem jest przysłowie wschodnie, które powiada: — Odwiedzaj często przyjaciela, bo cierniem i chwastami zarasta droga nieuczyszczana. — Uczucia nasze nie powinny służyć nam za uchronę tylko w chwili, uczuwaną potrzeby odpoczynku, za „namioty nocne.“

Przyjaźń nie powinna też dawać nam przywileju na to, abyśmy byli bez ceremonii nieprzyjaciół dla przyjaciół naszych — ostrzega Lubbock bardzo słusznie, bo jest wielu ludzi, którym się zdaje, że przyjaźń daje nam prawo do zaniedbania tych względów, które czynią wzajemnie miłymi stosunki tak towarzyskie, jak rodzinne i przyjacielskie. Natury delikatne nigdy pod tym względem nie zgrzeszą, lecz dodać tu można, że nie zgrzeszą podobnie ci, dla których węzły zawarte-go uczucia są rzeczywiste drogiem. — Miłość jest czujna, miłość jest ostrożna! — mówi Apostoł i słowa te odnoszą się w całości do przyjaźni. Nikt nie lekceważy tego, co mu jest drogiem rzeczywiście. „Gdzie jest twój skarb, tam jest twoje serce“ — to po wszystkie czasy i ludy prawda niezawodna. Usiłujemy być miłymi dla przyjaciół naszych, jeżeli węzły przyjaźni są nam drogim i kto, licząc na uczucie, raz w sercu czyjś wzbudzone, nie czyni nic, aby je podtrzymywać, ten albo bardzo źle prowadzi gospodarstwo swego życia i niedbale obchodzi się z dobrami posiadaniem, albo uczucia jego niestałe już ostygły. Lubbock czyni tu uwagę, że dopiero po utracie ukochanych nam istot serce poznaje, jakie miejsce zajmowali oni w życiu naszym, i wtedy uczucie straty serce to rodzi. Kto raz stał u grobu ukochanych swoich i spojrzał w tył na przeszłość, która się zamknęła już nazawsze, kto wtedy uczuł całą siłę miłości bolejącej i gryzącego cierpienia, wie że teraz już nigdy i w niczem nie zdoła dać chwili jednej przyjemności temu sercu, które już bić przestało i nie zmniejszy już nigdy na atom jeden w stosunku swoim do uszłego w zaświat ducha, win popełnionych, uczuje dopiero jak wielki jest ciężar długów, zaciąganych niebezpiecznie od ukochanych nam istot.

Nagrobki niezawsze są prawdziwym wyrazem miłości dla tych, co tam spoczywają. Anaxagores, opisując Mauzoleum nazwał je widmem bogactwa, zamienionem w kamień.

Śmierć nie rozdziela nas z ukochaniami naszymi. — Przyjaciele — pisze Cyncero — choć nieobecni, są dla nas zawsze przytomni, choć w ubóstwie, zawsze bogaci, choć w chorobie zawsze zdrowi, i, co trudniej dowieść, żyją zawsze choć umarli; zdaje się to być paradoxem, a jednak jest prawdą. Dla mnie Scypion żyje dotąd i żyć tak będzie zawsze, ponieważ kocham cnotę tego człowieka i to, co jest tu cennego, nie przestało dotąd istnieć dla mnie. Ze wszystkich tych dóbr, któremi obdarzyła mnie Fortuna i Czas, żadnego nie cenię sobie dotąd wyżej nad przyjaźń mą dla Scypiorna.

Dla tych ludzi, którzy wybierają przyjaciół, nie dla tego, co posiadają, ale dla tego czem są w duchu swoim, taka nierozłączność z nimi po zgonie jest rzeczą naturalną. Każdy kto mógł kochać kogoś z tych pobudek, zrozumie tu Lubbocka — zrozumie to obcowanie żywych i umarłych przez siłę uczucia, które po śmierci nie zesłabło, i należy to niewątpliwie do uszczęśliwiających nas żywiołów ta łączność nasza z ukochanymi, której śmierć nie przerywa. Ci dalecy są nam przeciwieństwo bliźcy zawsze — zawsze dla nas istnieją. Gdzie tego niema, jest zapomnienie — jest niewierność serca.

Pomiędzy rozkoszami życia mieści Lubbock poznanie wartości czasu. — Każdy dzień — pisze — to życie. Ludzie mówią często, że czas to pieniądz, przeciwieństwo jest on czemś stokroć droższym, kto zrozumie, że jest on dla nas życiem samem. Schiler woła, że momentu, który uchodzi, nie odda nam wieczności cała... i jest to prawda, nad którą przeciwieństwo mało kto się zastanawia. Kto więc najwięcej, ten najmocniej żałuje straty czasu... pisze Dante i wszyscy myśliciele czuli i czuć będą zawsze to samo, a przez to właśnie, że się to przedstawiło ich umysłowi, zostali myślicielami.

Nie tracili go — tego drogiego czasu, choć Lubbock dodaje tu, że nie jest to jeszcze stratą, jeżeli go użyjemy niekiedy na to, co się zowie rozrywką, jeżeli go poświęcimy związkom rodzinnym, towarzyskim, bo człowiek nie może tego wykreslić z życia bez szkody, tak jak i tych rozrywek, z których jedne podtrzymują siły umysłu, drugie siły mięśni a razem przykładają się do normalnego rozwoju naszej istoty. Próżniak

właśnie nie może nigdy znaleźć sobie czasu na to, co w użyciu czasu nazywa się oddaniem go pewnym zajęciom razem pożytecznym i przyjemnym.

Naprawdę, ludzie mają zawsze czas na to, czego pragną rzeczywiście, — czego pragną szczerze, zresztą nigdy się nie marnuje czasu, gdy nie drzemiemy leniwie i nie jest to koniecznie traceniem go, gdy jest poświęcony rozrywce zdrowej i uczciwej. Shakespeare powiedział, że bieg czasu jest rozmaitym, względnie do osób, którzy go używają. Z jednymi wlece się powoli, z drugimi jedzie truchtem, z trzecimi galopuje, a są tacy, dla których stoi w miejscu, i tyle jest godzin jego dla nas, ile ich zużytkować umiemy. Taylor twierdzi, że próżnowanie jest największą rozrzutnością w świecie, bo trwonisz niedbale to, czego wartość ogranicza się chwilą bieżącą i jest dla nas całkowicie już straconem, skoro dana chwila upłynie, bo żadna moc, żadna siła na świecie, ani sztuki, ani natury, nie odda już nam czasu — który raz uleciał.

Życie powinno też liczyć się, nie na długość, ale na głębokość — powinno się je rachować na pulsa, które są jedynie jego oznaką. Gdzie energia żywotna objawia się najsilniej, tam jest najwięcej życia, w kim pali się ono najgorętszym zapalem, w kim jest najpotężniejszym motorem działalności, ten żył najwięcej. Życia jest tam mniej, gdzie osadza się ono w nawyknięciach, bo posuwa się wtedy bardzo zwolna, skoro może stereotypować takie odciski swoje. Skoro przecież życie tak tryska, że gotuje się balwaniąc, nie możemy nic uchwycić dotyla, aby utrzymać, i taka wolność życia sprowadza za sobą jego ubóstwo — brak mienia, brak zapasu na drogę, która wiedzie w stronę wieczności.

Lord Ansterfield dał synowi taką naukę, co do używania czasu młodości. „Każda chwila, którą tracisz teraz, jest stratą dla charakteru i jakiejś korzyści nieotrzymanej. I naodwrot: każdy moment, dobrze użyty teraz, jest czasem zdobytym sobie na własność, która zadziwiająco procenta przynosić ci będzie“.

Przecież rzadko kiedy myślimy o tem, że czas — to życie, bo gdyby tak nie było, nie tracilibyśmy go tyle, zwłaszcza na wegetowanie leniwe, które nie przynosi nam nawet używania żadnego i zwykle darzy tylko nudą, która jest może rzeczą najcięższą do zniesienia. Goethe mówi też przez usta Faustowe prawdę wielką:

— Chwytaj każdą minutę...

To, co możesz zrobić, lub sądzisz, iż możesz, uczynaj zaraz. —

Jest w języku angielskim poemat satyryczny, w którym dyabeł jest bohaterem i łowi tak dusze ludzkie, jak ryby, na wędkę, zmieniając tylko przynętę w miarę gustów i temperamentów tych ryb swoich. Zachód jego jest przytem niemały i próżniacy tylko nie wymagają żadnych zachodów — łapią się na haczyk, u którego niema nic, coby przynęcać mogło, i Seneka powiedział też: „Serce ludzkie jest jak kamień młyński: obraca się i miele nieustannie; jeżeli nasypiesz na niego zboża, otrzymasz mąkę, lecz jeśli nie uczynisz tego, zmiele się on sam na proch“.

Nie nuży nas praca, ale zachód o różne te rzeczy, które uważamy za potrzebę życia naszego; bez pracy przecież nie moglibyśmy nic — mniej nawet, niżeli te zwierzęta, o których sądzimy, że nie pracują wcale, co nie jest prawdą przecież, jak o tem wiedzą dobrze ci wszyscy, co podpatrując naturę, widzą wśród niej czynność nieustającą na moment. Cały nasz świat — wszystkie te światy, które ukazują się nam w przestworach błękitów, nie ustają w pracy, w ruchu, i to jest właśnie życie. Spoczynek taki, który nie jest odpoczynkiem tylko, nie jest skupieniem zapasów siły na pracę nową — to śmierć. Ale godziny mają skrzydła, jak o tem wiedział, jeszcze Grek stary. Nie zużyte odlatują, i to jest życie zmarnowane w bezczynności, które mści się potem na nas za to. — „Zużywałem marnie czas, a czas oto zużył mnie marnie... mówi Shakespeare przez usta Ryszarda II, a rzecz tę okrutną może powtórzyć mnóstwo ludzi. Żyje się tyle tylko czasu, ile go się zużytkowało na cośkolwiek, lecz bywa też, iż go nam

wydzierają. Są godziny, które nam zabierają; są godziny, które nam kradną, są godziny, które nam się wyslizgują... napisał Seneka, ale w jakikolwiek sposób utracone zostały, już nie wrócą do nas nigdy i zadziwiająca jest rzeczą, jakie mnóstwo rzeczy dobrych, miłych, bogacących nas, człowiek traci własnowolnie i rzadko nawet pomyśli o tem, że je tracił tym sposobem.

Cierpienie jest w życiu rzeczą konieczną, uniknąć się niedającą; ale ten, kto je na siebie sprowadza przez stratę czasu, przez niedokonaną pracę, nieuchwyconą sposobność szczęścia, leniwe zaspanie chwili sposobnej — jest winien sam sobie i niema prawa skargi na los, a kto by dobrze umiał spowiadać się z życia, przekonałby się, że szczęście polega może najgłówniej na dobrze użytym — na niezmarnowanym czasie. Nikt nie żyje dwa razy nawet minuty jednej. Ta, co minęła, już nie da się uchwycić — już przepadła dla nas. Dobre zużytkowanie czasu, jeżeli nie jest szczęściem, właściwie jest najlepszym sposobem zawarowania sobie tych rzeczy drogocennych, z których się szczęścia składa. Lubbock wykazuje, że zaczawszy od spokoju sumienia, od zadowolenia wewnętrznego, większość najwyższych dóbr życia polega na nieutraconym, dobrze zużytkowanym czasie.

Są ludzie z usposobienia smutni, zgryźliwi, którzy nazywają życie samo nieszczęściem już: otóż osobistości takie, to zwykle natury zimne i ociężałe. Ruch żaden nie pociąga ich ku sobie i nieszczęśliwymi są, nieszczęśliwymi być muszą, przez leniwe ciążenie samym sobie. Pchnij ich w koło pracy, wywołaj w nich energią do niej, a ogrzeją się i rozruszają — zagra w nich życie i z niem ochota do niego — cel jego uwidoczni się.

Lubbock pisze dalej o rozkoszach, jakie daje człowiekowi dom rodzinny, o rozkoszach jakie daje mu zwiedzanie świata — oglądanie oblicza natury i istoty człowieka wśród rozmaitości barw i oświecenia — w różnych kolorach tęczy życia. Piśze o rozkoszach nauki, o rozkoszach władzy, sztuki, poezji, wiary, nadziei, miłości — o rozkoszach pracy i odpoczynku a książka jego podzielona jest na dwie części. Z tej drugiej części czytelnicy nasi, będą też mieli zdania sobie sprawę.

M. Ilnicka.

ADJUTANT KRÓLA JEGOMOŚCI.

OPOWIADANIE Z DRUGIEJ POŁOWY ZESZŁEGO STULECIA

napisał

Mieczysław Krzywosąd — Kępieński.

(Dalszy ciąg).

Z pośpiechem rzucili się wszyscy ku wyznaczonym zajęciom. Ratułt z polecenia pułkownika objawszy komendę, krzątał się z zapalem, jakby mu połowa lat spadła z pochylonych ramion. Z niedalekiej Jarosławki, gdzie od wieków siedziała czynszowa brać szlachta, zjechało na wezwanie Ratułta kilku Fijałkowskich, dwunastu Jarosławów, ośmiu Jabłońskich i sześciu Jaworskich, a wszystko chłop w chłopa jak dęby, o szerokich barach i potężnej dłoni. Ze Zborczyc i Świątnik, w braku braci szlachty, zgromadził Ratułt co cięższych parobków i broń im porozdawał, która na składzie leżała w lamusie. Cały obszar do koła ogrodu, cały dziedziniec na przestrzeni dworu, gumien, stajen i innych folwarcznych budynków, zaroił się teraz od gromady ludzi, co w trwodze o życie zewsząd z dobytkiem do Zborczyc ściągali. Na obszernej przestrzeni pomiędzy dworem a stajnią pełno było ruchu: tu lano kule przy rozpalonych ogniskach lub toczono szable na kamiennych brusach, tam znowu musztrowano ludzi, naprawiano wały, bito palisady, przestrzelano muszkiety, — słowem: wszędzie ruch, krzątanie się, hałas, strzały

i okrzyki. Stary konfederat dzikowski, jakgdyby odżył na nowo, tak się uwija i biega, tu wydając doraźne rozkazy, tam udzielając wskazówek, tu przygotowując zapasy na wszelki wypadek albo powstrzymując ferwor gorętszej młodzieży, co, uniesiona kawalerską fantazją, rwie się porycku i, miasto czekać na Zborczycach, dwór narażając na pewne zniszczenie, chce ku Dobrzycom ciągnąć i złożyć się w gołym polu z nieznanym wrogiem.

— Mości panowie — wołał na to Ratułt — a kto wam powiedział, że nas w Zborczycach poszukiwać będą — kto wam powiedział, że nas nie ominą? więc po co guza gotowego szukać? Więc *obedientia*! Mnie pan pułkownik polecił komendę! a zatem: czuj duch! — słuchać! bo jak wszyscy zaczniemy dowodzić, to nas dyabli wezmą! I owóż rzecz.

Ponieważ Ratułt był bogobojnym człowiekiem i nie chciał grzechów dusz tych brać na swe sumienie, o zmierzchu więc, kiedy już koło wałów robić było trudno, kiedy wszystko było w porządku, jak Pan Bóg przykazał, a rozesłane podjazdy zaraportowały, że na przestrzeni milowej cicho i spokojnie, zlecił Drużbicowi dowództwo załogi, a sam, wskoczywszy na siodło, ruszył samotrzeć ku Staniątkom prosić księdza kapelana, aby przyjechał do Zborczyc nazajutrz i wysłuchał zgromadzonych ostatniej spowiedzi.

W bocznej oficynie naprzeciw kościoła mieszkał kapelan i dwóch reformatów wielkich: tam więc nasz podstarości skierował swe kroki. Był on w Staniątkach bywałym oddawna, częstokroć jeździł tu posyłany przez pułkownika, który, acz ewangelik, ciągle miewał stosunki z sąsiednim klasztorem, sam tu bywał często i nieraz siostrom zakonnym przysyłał prezenta. Zaczny kapłan przyrzekł z największą chęcią stawić się do Zborczyc; tożsamo i obaj reformaci, żeby ulżyć staruszkowi w pobożnej przysłudze. Zafatwiwszy się więc i uspokoiwszy sumienie, spieszył Ratułt do towarzyszy, aby dosiąść konia, kiedy zadyuszany przybieżał kościelny, wzywając go na rozmowę z matką przełożoną. Miałem już sposobność wspomnieć, że przeorysza w Staniątkach była pani Polanowska, przyjaciółka dawna rodziny Goreckich: nie więc dziwnego, że podstarościę wzywała, aby się coś dowiedzieć o pułkownikównie. Tak myślał Ratułt, idąc do klasztoru przyspieszonym krokiem i nie widząc w tem wezwaniu nic nadzwyczajnego. W rozmownicy zastał matkę Polanowską, która siedziała na szerokim karle za żelazną kratą. Była to osoba lat średnich, wysokiej postawy, gibkiej, prawie jeszcze młodzieńczej kibici; ale twarz podłużna, wyschła od ciągłych postów i przywaci, więcej ją zbliżała do starszego wiekiem, niżli młodszych niewiast. Twarz tę, prawie ascetyczną, ożywiało parę oczu szarych, bystrych, przenikliwych, chociaż zawsze ku ziemi spuszczone jakby lękających się spojrzeć na ludzi światowych, ale pełnych życia i ruchu, a wpatrując się w nie bliżej poznać było można, że matka przełożona to kobieta czynnego i energicznego umysłu.

— Mój mości Ratułt — rzekła gorączkowo po kilku słowach powitania, — gadaj mi zaraz: co tam się dzieje na świecie? Wczoraj był tu pułkownik i nie mówić nie chciał, bojąc się mnie niepokoić zapewne, a mój stary Więckowski nic nie wie, albo także i on, przez głupią ostrożność, nie powiedzieć nie chce.

— I ja nie mam co donieść waszej wielbności — odparł sucho Ratułt, kłaniając się nisko matce przełożonej.

— Wstydziliś się stary — surowo przerwała pani Polanowska — nie obrażałbyś Pana Boga, nie kłał kłamstwem sumienia. Cóż-bo ty myślisz, że chociaż niewiasta i za temi murami, co mię rozdzielily ze światem, to już wszelkie ludzkie uczucia zamarły mi w piersi, a wyjąwszy molitwy, nie mię nie obchodzi? Toż każdego wieczora, każdej niemal nocy krwawi mi się serce, zalewam się łzami, kiedy patrzę z celi tej-tam na piętrze, jak szerokie łuny płomienia niebios, jak potoki krwi zlewają tę nieszczęsną ziemię a powietrze rozpacz rozdziera ją jęki, jak się szerzą co raz bliżej naszego schronienia rzezie i pożoga, niby straszna kara Boża, lecąca na tę biedną lu-

dać piorunem zniszczenia. Jeżeli waszeć nie wiesz, to ja tobie powiem, że cały kraj od granic Spiża aż do Myślenic i Dobczyc leży zalany strugami krwawymi, zasypany secinami trupów; że ani jednej wsi niema, gdzieby nie było ruiny i zgłiszcza, ani jednej gdzieby naród biedny nie marł głodem i chorobą. Toż nie dlatego wołałam Aspana, aby go się pytać o głupie nowinki, ale z tej przyczyny, ażebyś Aspan ostrzegł pułkownika o niebezpieczeństwie, które, jak wiem z pewnością, zagraża Zborczycom.

— Pan pułkownik z żoną i bawiacami u nas pannami wyjechał właśnie dzisiaj do Krakowa — rzekł ponuro Ratułt.

— Przebóg! — toż całe gościńce przepelnione ciągnąciami przeciw związkowym wojskami. Czyż nie lepiej było, jak prosiłam wczoraj, schronić się w Staniątkach, gdzie od napaści bronią uświęcone mury?

— Państwo wyjechali pod eskortą gwardyi, zatem są bezpieczni.

Coś jeszcze chciał powiedzieć Ratułt, kiedy się drzwi od rozmownicy otworzyły nagle, a w nich pojawiła się nowa postać, która, przykleknawszy przed przełożoną, zwyczajem klasztornym, skłoniła poważnie Ratułtowi głowę. Była to osoba około lat czterdziestu, wyniosłej kibici i wspaniałych kształtów, okryta w skromny ciemny habit, ujęty w pasie czarną szarfą i różancem o złocistym krzyżu. Jasne jak len włosy pokrywało obranie głowy, krojem zwykłego welonu, zpod którego wyglądała twarz piękna, jaśniejąca niezwykle świeżością mimo lat spóźnionych, a duże oczy błękitne, obok niewyslowionego bólu i prawdziwie chrześcijańskiej rezygnacyi, rzuciły koło siebie przytłumione ognie. Osobą tą, różniącą się tak strojem od panien Benedyktynek w Staniątkach, była zostająca tutaj od lat kilkunastu na dewocyi, wana tak po klasztornej siostra Kunegunda.

Zkąd była, jak się zwała, jaką dawniej rolę odgrywała w świecie? — z wyjątkiem matki przełożonej nikt pono nie wiedział; wychowanie jej tylko pańskie i staranne, jej niezrównana delikatność w obejściu się z ludźmi, uszanowanie, jakie dla niej miała pani Polanowska, świadczyły, że siostra Kunegunda z zacnego pochodzi domu. Zresztą poanielsku dobra, łagodna i cicha, uczynna i chętna, pomagająca innym w usługach i pracy, była siostra Kunegunda ulubienicą całego klasztoru. Chociaż zostawała na dewocyi tylko i nie krępowała jej w niczem reguła zakonu, pani ta podzielała obowiązki siostr Benedyktynek, — ze światem od lat wielu nie miała stosunków; z jednym tylko Wielowiejskim łączyły ją dawne relacje pełne tajemnicy, a kiedy ten z Warszawy nadjechał, zaraz do Staniątek śpieszył, witany przez smutną zwykle penitentkę z ogromną radością i oczekiwany znowu z niepokojem, niemal gorączkowym.

Zdziwiło też niemało panią Polanowską, kiedy wobec obcego Ratułta zjawiała się niespodzianie siostra Kunegunda; myśląc więc, że penitentka, usłyszawszy o ludziach i koniach ze Zborczyc, sądziła, że pułkownik przybył, aby ją przestrzedz i wyprowadzić z omyłki rzekła:

— Wyobraź sobie, moja siostrko, co nam pan podstarość ze Zborczyc donosi. Nieopatrzny pułkownik, zamiast nam przywieźć kobiety, jakśmy to wczoraj ułożyli, pomimo niebezpieczeństwa po drogach, wziął je do Krakowa. Boję się wypadku.

— Pan Wielowiejski to człowiek rozumny — z pewnością siebie odparła siostra Kunegunda — wie co czyni i dobrowolnie nie szuka nieszczęścia. O kobiety, jak i o niego spokojną się czuję, — jeno, że w Zborczycach pozostali ludzie, pozostali ranni bez żadnej opieki, której potrzebują, i o tyle się troskam. — I nagle zwracając się do Ratułta, wpatrzyła się w niego z jakimś niepokojem, jakby niepewna z kim ma do czynienia, ale widząc twarz szczerą, pocziwą, otwartą, — rzekła do niego z ufnością dziecięcą:

— Powiedz mi waszeć szczerze: jak się mają ranni, jak się ma pan Družbie, z którego rodziną łączą mnie oddawna pokrewne stosunki.

Ale Ratułta zachowanie się było jakieś dziwne: wlepiwszy oczy w postać penitentki, zapatrzył się na nią, niby w piękny obraz, który widział gdzieś dawniej, a nie mógł sobie przypomnieć,

gdzieby-to było i kiedy. Te włosy jak len jasne, złociste, oczy błękitne, wypukłe, patrzące na świat z takim wyrazem dobroci i rezygnacyi, a obok tego iskrzące się jeszcze namietności ogniem, te usta słicznie skrojone wydatne i świeże — cała zresztą postać, chociaż pełna wdzięku, ale jak na niewiaścę, za silnej budowy, tak mu się wydawała znajomą oddawna, taką jakąś swoją, bliską, codziennie spotykaną, że nie mógł od niej oczu oderwać, nie mógł napatrzeć się dosyć. Stał tak długą chwilę zapatrzony, niemy, szperając myślą we wspomnieniach, gdzieby mógł spotkać ową tajemniczą niewiaścę, — może nie słyszał nawet zapytania, tak był zajęty tem pięknem widziadłem, które nekalo jego wyobraźnię.

— I cóż, mości Ratułcie, nie odpowiesz, wasze, siostrze Kunegundzie? — przerwała niecierpliwie pani Polanowska. Stary wojak skrobał się w łysinę, przestępywał z nogi na nogę i, nie nie odpowiadając, namyslał się tylko, aż ni ztąd ni zowąd splunął na podłogę, palnął się w łysinę i huknął potężnym głosem, jakby sam do siebie:

— Tfu, do krośset dyabłów, mam już, mam! A toż ze mnie dopiero kapitalny głupiec!

— Co aspanu takiego? — z uśmiechem rzekła pani Polanowska — żołnierz jesteś stary, więc i gęba pełna dyabłów widać, kiedy ich w sobie pomieścić nie może, jeno bluzga nimi w tym świętym przybytku. Ale o dyabłów waści nie chodzi teraz siostrze Kunegundzie, tylko o rannych w Zborczycach, a nadewszystko o pana Družbica: więc gadaj aspan, co tam z nimi słychać.

Ocknął się Ratułt i począł się sumittować za mimowolną obrazę.

— Więc jakże z rannymi, jak z panem Družbiczem? — ponownie spytała siostra Kunegunda.

— Ranni? at — odrzekł stary wojak, machając ręką lekceważąco — prawie zdrowi wszyscy; niejednemu poleżeć zdałoby się jeszcze, gdyby czas był na to. Wždy i tak ozdrowieją, nim ich pan Bóg zawoła przed sąd sprawiedliwy. A co do naszego pana podstolica, to chłop zdrów jak rzepa: tylko szablę do ręki i na koń mu wsiadać.

— Więc mię nie łudził pułkownik, więc on zdrów zupełnie, — szepnęła wzruszona siostra Kunegunda, wznosząc ku niebu oczy z wyrazem podzięk — ale dlaczegoż mię trapią te straszne przecucia, dlaczegoż spokoju ani chwili nie mam, jakby mu się przytrafić miało jakoweś nieszczęście?

— Ale powiadam jejmości zdrów jak rybka chłopiec, trochę przybladł tylko; zato spowaźniał nad miarę, a że zapłacił frycowe, toż lepiej młodemu: będzie stawał na przyszłość ostrożniej, nie z takim ferworem i lepiej będzie zasłaniał czerep, co go sobie tak paskudnie pozwoił rozplatać.

— Mój panie Ratułt, nie znam was, ale widzę, żeście człowiek pocziwy — rzekła pochwili modlitwy siostra Kunegunda: — Mam do was prośbę, której spełnienia zechciej mi się podjąć, bo wasz pułkownik to człowiek przeaczny, ale nieszczęście, że ewangelik niewierny, że dworak co lubi żartować ze wszystkich świętości. A tu jest rzecz taka — mówiła dalej, wzruszona niezmiernie i z łzami w oczach wyjmując, zza gorsu zawiniętą paczkę — oto dla pana Družbica rodzinna pamiątka, którą mu z błogosławieństwem jego własnej matki oddać polecono. Jestto ryngraf z Częstochowską panienką, którą nosili Glinkowie od lat niepamiętnych w potrzebach wojennych: tak według podania Marek Glinka, dziad jego matki, tej pamiątce pod Chocimem zawdzięczał ratunek; tak jej ojciec Hieronim w kilkunastu bitwach, tak jej stryj Ambroży zawdzięczał życie matce cudownej, której oblicze na blasze jaśnieje a czasu pokoju ucieczkę i pociechę we wszystkich troskach i nieszczęściach. Świętość ta rodzinna, która była lat tyle dla rodziny Glinków cudowną opieką, będzie i dla podstolica w każdej potrzebie najlepszym puklerzem. Oddaj mu ją, mości Ratułcie, i powiedz, że z tą pamiątką, oblaną gorącym łzami boleści i smutku, łączą się i błogosławieństwa najtkliwsze, jakie złać na syna mogła najnieszczęśliwsza z nieszczęśliwych matek. Proszę, weź, i pozdrów od nieznajomej pana podstolica.

Nie wiedzieć, czy domyslał się czego, czy tylko rozrzucony taką przemową siostry Kunegundy, skłonił stary wojak na piersi olysiałą głowę, aby ukryć łzy, co mu się gwałtem cisnęły do oczu, kiedy odbierał upominek z delikatnej rączki nieznajomej pani, która, jakby unikając dalszych objaśnień i słów niepotrzebnych, znowu przyklekła przed przeoryszą, a skinąwszy głową Ratułtowi na znak pożegnania, cichym i poważnym krokiem zniknęła za drzwiami.

— Ściemnia się, czas w drogę — począł znowu Ratułt, chcąc pokryć wzruszenie — czekam rozkazów waszej wielmożności.

— Rozkazów nie mam żadnych — odparła pani Polanowska, — tylko proszę nie zapominać w razie, Boże broń, nieszczęścia, że Zborczyce mają zawsze w Staniątkach serdecznych przyjaciół a w razie potrzeby i my biedne niewiasty przydać się możemy. Boskiej was opiece polecam panie podstarości. Zadumany Ratułt zmierzał ku swym towarzyszom, rozmyślając nad tajemniczą zagadką, jaka się rozsuwała w jego wyobraźni; ale, zacny i rozumny, tłumił w sobie domysły nasuwające się mimowoli, których podstawą była twarz i cała postać siostry Kunegundy. Ale daremnie spierał się sam z sobą, daremnie wołał w duchu „*apage satanas*“, daremnie odpychał złe myśli, co mu opętały umysł: domysły rodziły się znowu, powoli przybierały dotykane kształty, a podsycona wspomnieniami wyobraźnia chwyciła epizody z życia pułkownika, wiązała je i szeregowała ze sobą i zbiegiem myśli rozświetlała się przed Ratułtem pełna tajemnicy przeszłość podstolica.

Kiedy podstarości z towarzyszami z bramy klasztornej wyparli się w pola, ciemność już była taka, że choć oko wykół. Księżyc nie zeszedł jeszcze, ani też żadna z jego towarzyszek nie rozjaśniała dotąd pochmurnego nieba: wszędzie panowała nieprzedarta ciemnica, kryjąca wszystko dookoła, zlewały się z nią nawet kępy drzew, co tu i owdzie rzucane nad rowem, wskazywały drogę. Ratułt i dwaj Jaworscy, którzy z nim jechali, rzucili wolno koniom ugłę, zdając się na instykt doświadczonych zwierząt, który nigdy nie zawodzi jeźdźca.

Jechali wszyscy w milczeniu; oswojony z ciemnością wzrok rozróżniał na kilkanaście kroków zarośla i drzewa, co, niby olbrzymie cienie, widniały na łąkach. Nagle doszedł bystrych uszu Ratułta tętent cwałujących koni, a gdzieś w dali zahaczało niby odgłos strzałów. Podstarości przystanął, a z nim jego towarzysze: wytężonym wzrokiem śledzili wszyscy drogę i sąsiadnie błonia, ginące w nieprzedartej pomroce; nie jednak dostrzedz nie mogli, jeno się zbliżał tętent kilkunastu koni, a tu i owdzie szczeł szabel dolatywał z wiatrem:

— Panowie bracia — mruknął półgłosem Ratułt do swych towarzyszy, — albo to zasadzka albo też podjazd, a dyabeł wie jaki, już ciż nie będzie przyjaciel-to pono, co po nocach chodzi. Więc gdy się potkamy, to, nie mieszkując, konie w kupę, pistolety do ręki a szablę na temblak. Jeżeli obokoczą, palić z pistoletu, mierząc w same ślepie, a później pistolety na smycz i na odlew szablikiem w czerep między oczy. Nie zatrzymywać się, nie bić daremnie, bo to nie bitwa, lecz prosta zasadzka, jeno patrzeć tylko, by się wyprzeć w pole. Czuj duch, oko na mnie, Boga na pomoc i w konie!

Opatrzywszy pistolety, zwiesiwszy szablę na temblak, ruszyła trójca jeźdźców z kopyta. O kilkanaście staj wpadli na oddział gwardyi wyciągnięty murem wpoprzek poprzec drogę. Pierwszy Ratułt wypalił, tuż obaj Jaworscy. — Przy błyskach wystrzałów, kiedy trzech gwardyaków padało z szeregu, dostrzegł podstarości owego wachmistrza, co eskortą przy pułkownikowi dowodził jeszcze dzisiaj rano. W niego więc nasamprzód uderzył całą siłą szabli a równocześnie, spiąwszy konie, rzucił się naoslep. Wachmistrz od potężnego cięcia skulił się na siodle, a stary wojak wyparł konia w czyste pole bez żadnego szwauku; ciśnień było Jaworskim, którzy sobie rum robili pośród gwardyaków, bo długo słychać było jeszcze szczeł oręża, gęste cięcia szabel, coś jakby jęki i okrzyki jakieś, ale na to

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Edmund de Amicis: *Pamiętnik chłopca*, książka dla dzieci, przełożyła z upoważnienia autora **Marya z Sie mi- adzkich Obrąpalska**; Warszawa, nakł. księg. Teo- dora Paprockiego i Sp. 1890; str. 1—423, I—II—12°.

Szkola uczucia—tak-by można nazwać tę książkę, która dawno już dopominała się wydania polskiego w Warszawie. Przyczynienie się do ważnej funkcji społecznej rozwijania uczuć w młodych pokoleniach—temi środkami, jakie daje literatura; przeświadczenie rodziców o konieczności uczuciowego także, a nie tylko umysłowego, wychowania dzieci,—stanowią założenie tego szacownego zbioru opowiadań, składających się na dzieje dziatwy szkolnej w III klasie włoskiej. „Książka dla dzieci” jest i książką dla dorosłych, oile dorośli nie chcą być koniecznie dziećmi, lekceważącymi swe obowiązki. Jak powieści dzieciinne Florencji Montgomery, tak i *Pamiętnik* Amicisa znaleźć powinien dla siebie czytelników wśród rodziców i wychowawców — i niemalej, niedrobnej doznałbym radości, gdyby mi za kilka miesięcy powiedziano, że wydanie polskie *Pamiętnika* jest już na wyczerpaniu i powtórzonem być musi.

Ale czy tak będzie? Lękamy się dziś uczucia — my wszyscy starzy, a za przykładem naszym idą i młodzi. Pod wpływem pozytywnych prądów, wiejących z wielkich ognisk oświaty na Zachodzie, a częścią także i z własnych natchnień rozumowych, przez lat blisko dwadzieścia powtarzano nam ciągle hasła: „Walka o byt”, „wiedza to potęga”, „siła przedewszystkiem”, „praktyczność przedewszystkiem” — „gaście ogień”, „ogień gaście” i t. p. — że nie mamy dziś już odwagi ani dzieciom swoim, ani sobie zalecać tej maceracji egoizmów, którą przeprowadza właśnie wszelka szkoła uczucia. A jednak, gdyby tak można było zmieknąć; gdyby go można było ograniczyć do zakresu woli i siły samoistnienia i przetworzyć w czujny zmysł zachowawczy całkowitej duchowo-cieleśnej istoty ludzkiej; gdyby się dało powstrzymać jego niszczącą działalność tam, gdzie trud wychowawczy usiłuje zaszcześcić w sercach tę najwyzszą zasadę wychowania i zarazem najwyższą zasadę życia: miłość człowieka dla człowieka — o ileżby, pomimo wszelkiego zła, ciemnoty i nędzy, przez sam tylko rozwój uczuciowości w młodych pokoleniach, lepiej było na ziemi!

Książka Amicisa jest jednostronną: rozwija tylko uczucie. Prawda, ale i *Robinson Crusoe*, ten nieśmiertelny podręcznik zdrowego rozsądku i dzielności osobistej, jest także tylko jednostronną, a któżby go dziś jeszcze dziecku swemu, zwłaszcza chłopcu, do ręki nie dał?... W *Pamiętniku*, oprócz nauki uczuć, owiniętej w przygodę dzieciinną, występuje jeszcze i życie szkoły włoskiej, odbija się w niej nawet życie narodu włoskiego szkołą — jego zajęcie się gorące wszystkim, co szkoły dotyczy. Książka pokazuje nam jak było we Włoszech przed laty jeszcze dziesięć. Może od tego czasu zapal ostrygł, zajęcie się rodziców i powszechności narodowej utraciło swą sprężystość, może sama szkoła spadła na poziom zwykłego rzemieśnictwa; ale w tym czasie, kiedy nas Amicis do niej wprowadza, — wynieść z niej możemy tylko wrażenie orzeźwiające. Wszystko tu ucieszyć może: i gorliwość nauczycieli, i rozumna troskliwość systematu, i dbałość rodziców, i całe życie szkoły. Ktoby chciał podejrzewać Amicisa o zidealizowanie obrazu, dopuściłby się niesprawiedliwości: idealnemi są w jego książce dzieci dobre, na wzór małym czytelnikom postawione, jest może sama szkoła, w której patrzymy na samych tylko dobrych nauczycieli i kierowników (i inaczej być nie mogło), ale nie jest idealnem to otoczenie, ta aureola z trosk, niepokojów, ciągłej wymiany myśli między domem a uczelnią, wytwarzająca się wokoło najczęciodszej instytucji społecznej. Przeciwnie, czujemy real-

ną prawdę wszystkich tych szczegółów, które przez samą powszechność swoją nabrały już znaczenia rysów obyczajowych danego społeczeństwa i jako takie stały pod kontrolą samowiedzy Włochów, wiedzących przecież co i jak się u nich dzieje. Same nawet urządzenia szkoły włoskiej, zmierzające do wkupienia jej w serca wszystkich warstw obywatelstwa, wystarczają do odmalowania obrazu dziwnie jasnego i cieszącego oko. Jest i tam biedna nauczycielka z pierwszej wstępnej, umierająca na suchoty, i tam mały Franti musi być dwukrotnie wypędzany ze szkoły, i tam są żli i dobrzy uczniowie, zle i dobre istoty ludzkie, ale tem lepiej dla *Pamiętnika*, że swoje ideały na tło rzeczywistości rzucać umie a pomysłem wyobraźni nadaje żywotność faktów i istot rzeczywistych.

Chłopcem spisującym pamiętnik jest Henryk, syn inżyniera zamieszkałego w Turynie, a szkołą, będącą światem tego dziecka, jedno z gimnazjów turyńskich w roku szkolnym 1881/2. Pamiętnik trzecioklasisty leży zawsze na stole przy którym chłopiec się uczy: rodzice zaglądają do kajetu i wpisują weń swe uwagi, nauki oświecające umysł i pobudzające serce, przestrogi, napomnienia, wyrazy żalości na złe postęпки, — bo ten mały bohater, ukazujący się nam, nie w chwili uroczystej, ale w ciągłości swego życia codziennego, wcale od przywar i błędów wolnym nie jest. Najwięcej takich nauk otrzymuje młodec od swego ojca, który mu też jego własne zwierzenia poprawia. Ustawa szkół włoskich przepisuje na klasę III opowiadania comiesięczne; dzieci opracowują je w domu. Dziewięć takich opowiadań, przypadłych w ciągu roku, wpisał młodec do swego pamiętnika. Nauczyciel opowiada dzieciom, kim i czem był dla Włoch Józef Mazzini; ojciec wpisuje synowi do pamiętnika prawdziwą odę prozą o ojczyźnie włoskiej, wpisuje piękne wspomnienia o Cavourze i Garibaldi, który właśnie pod koniec tego roku pamiętnikowego, d. 3 czerwca, umiera. Opowiadania miesięczne: *Mały chłopiec z Padwy*, *Mały Lombardczyk na walecie*, *Mały doboż sardyński*, wprowadzają uczuciowość dziecka pod szeroki widnokrąg wspólnego bytu, a przyjęcie Kalabryjczyka do klasy rozbija zakamieniały prowincjonalizm. Do tegosamego celu zmierzają: pochód wojska, przejazd króla Humberta przez ulice Turynu i przywitanie się jego z dawnym kapitanem 4-go batalionu, 49-go pułku liniowego — ojcem jednego z kolegów Henryka.

Najobficiejszemu podał Amicis naukę miłości i ofiary dla blizkich i dla bliźnich wogóle. Rok szkolny zaczyna się od poświęcenia. Mały Robertti, chce wyciągnąć innego malca z pod nadjeżdżającego powozu: sam wpada pod koła i zostaje kaleką. Ale jego czyn dostępuje publicznej nagrody; żołnierze prezentują przed nim broń; młodzi i starzy płaczą ze wzruszenia na uroczystym akcie. Inny znowu chłopiec w opowiadaniu miesięcznym *Cywilna odwaga* (napis niezupełnie właściwy) ratuje tonącego z nurtów Padu; tu syndyk miasta wzywa żołnierzy do oddania czci zasłudze. *Mały pisarz florencki*, wykradając się z łóżka, całami nocami bez wiedzy ojca pomaga mu do zarobkowania na życie, wypisując adresy na opakach do gazety. *Krew Romańska* ukazuje poświęcenie młodego Ferruccio, który piersią własną zasłania swą babkę od zbójów, dostaje pchnięcie nożem w plecy i umiera. *Posługacz przy chorym tatce* uczy miłości bliźniego, powolności na głos cierpień ludzkich i stateczności w miłosierdziu.

Najsilniejsze, najgłębiej już sięgające przykłady zachował Amicis na dwa ostatnie wypracowania miesięczne. *Od Apeninów do Andów* jest wzruszającą powiastką nieszczęść i męczarni dziecięcego serca. Czternastoletnie pacholę płynie z ojcem za Ocean, het daleko, do Argentyny, żeby zobaczyć swą matkę, którą tam bieda przed laty zagnała. Myślał rozbaczek, że już w Buenos-Ayres nogi jej ucałuje — biednej słudze: a tu, po przybyciu, dowiaduje się, że państwo Mequinez, u których matka służy, wyjechali aż do Cordovy. Kiely się spojrzysz na mapę, strach przejmuje o to dziecko, rwące się tak o własnych siłach w stepy bez końca. Miłosierny jakiś filister daje Markowi kilka lirów na drogę, a jakieś draby wrzucają go wraz z warzywem w

nie uważał Ratult: on pędził równo z wichrem prosto ku Zborczycom. Targany niepokojem, pewnością napadu, parł konia ostrogą i krwawił mu boki, szlachetny zaś biegun, wyteżając wszystkie siły, parsknął tylko i dyszał, zaledwie ziemi dotykając lotnemi nogami, a tu od Zborczyc coraz głośniejsze odgłosy karabinowych wystrzałów, coraz większa wrzawa dochodziła z wiatrem co był jak potępieniec po szerokich błoniach. Z tyłu zbliżał się tętent, gwar głosów ludzkich i szczerkanie szabel: widocznie gwardyacy uławiwszy się z Jaworskimi, gonili Ratultę, ale ten już nie słyszał nic tego hałasu; oszołomiony strzałami, wrzący od wściekłości szarpany zemię przecuciami, straciwszy czapkę z głowy, z rozwianym na wolę wiatrów włosem, pędził jak szalony, sunąc, niby fantastyczne widmo, w niewstrzymanym pędzie.

— Boże wszechmogący, panienko najświętsza, — szeptał tylko do siebie biedny podstarośći każ mnie zginąć a ocal kobietę dla biednego Józka.

Niedługo dopadł zborczyckiego lasu, co okrywał zielenią wzgórza ciągnące się ku dworowi nieprzerwaną linią. Strzały grzmiały coraz głośniejsze, coraz bliżej, już nawet z powiewem wiatru okrzyki i wrzawa wojenna dochodziły uszu. Nie było wątplenia: w Zborczycach wrzała walka w całej zaciętości. Aliści na ówierć może mili od dworskich budynków, doszedł Ratultę swąd, spalenizna jakaś; podniósł więc głowę, wyteżył oko przed siebie i mało nie skamieniał na miejscu od strasznego bólu. Ponad lasem z pagórka, kędy stały budynki państwa Wielowiejskich, na tle nieprzedartych ciemności poczęły się pojawiać ogniste języki niby na wszystkie strony pelzające węże, a podsycane wiatrem wiły się, gięły, nabrzmiewały, coraz szersze przestrzenie ogarniając sobą, niby jakiś płomienisty potwór, co wchłania w siebie chciwie spotkaną ofiarę. Czarne słupy dymu, dzierzgane sнопami złotych iskieł, buchały jakby z jakiejś olbrzymiej czeluści; rzeka płomieni rozlewała się ponad lasem, odbijając się krwawą łuną na czarnych niebiosach; coraz głośniejszy sły chać było strzały, głuche ryczenie bydła, okrzyki i jęki, a ponad tą całą wrzawą piekielną rozlegał się trzask i łomot palących się belek, syczenie płomieni, co z szaloną siłą strasznego żywiołu, nieznającego litości ni granic, pochłaniały wszystko w ogniste ramiona. Oszałały z bólu, prawie bezprzytomny, Ratult wypadł na przełęcz, z kądemu się przedstawił straszny widok w całej swojej grozie; ale nie było czasu na zastanowienie: biedny starzec wsparł jeszcze konia ostatkiem sił swoich i z jakimś rykiem nieludzkim, ogromnym, runął jak potępieniec w tę straszną przepaść płomieni i ognia.

Był to dzień piękny pogodny, z końcem Listopada, kiedy południową godziną ciężka podróżna landara, uprzężona w cztery skarogniade konie, wjeżdżała w Miodową ulicę w Warszawie, aby zatrzymać się przed jedną z piętrowych kamienic. Hajduk w zielonej barwie zeskoczył z koźła, otworzył drzwiczki landary i wysadził męzczyznę średniego wieku w peruce, okutanego w długi płaszcz z niedźwiadków, z pod którego wychylał się ciemny strój francuzki. Męzczyzna ów był widać bardzo znużony podróżą, ledwie mógł ustać na nogach, więc oparłszy się o ramię służącego, wolnym chwiejącym się krokiem wstępował na schody owej kamienicy. Wszedłszy na piętro, świadomy widocznie rozkładu mieszkania, zwrócił się do pierwszych podwoi naprawo, gdzie w antykamerze zastał starego siwego już słuęę, który używał drzemki na wygodnem karle.

— Pan szambelan z domu? — zapytał nad miarę podniesionym głosem, na dźwięk którego porwał się słuęę i wypreżony jak struna stanął przed podróżnym.

— Do usług jasnie wielmożnego pana pułkownika — odparł ochotczo i z poufałością dawno znajomego domownika rzucił się, by podróżnemu ucałować ręce.

(Dalszy ciąg nastąpi).

lódz i zabierają do Rosario. Tu dowiaduje się maled, że p. Mequinez wrócił już do stolicy. Rozpacz, ale ją rozprasza poznanie prawdy: są w Cordovie. W jednej z szynkowni Włosi zbierają na malca 40 franków; wystarczy to na kolej. Jedzie, w drodze ziębnie, przybywa: Mequinez wyjechał już do Tukumanu, o 400 *legas* od Cordovy. Jakiś *Capatas* (handlarz wołów) zabiera biedaka ze sobą, ale tylko do Sant-Jago del Estero. Jeszcze dwadzieścia dni drogi! Idąc dniem i nocą, chłopczyzna pada nareszcie ze znużenia i głodu i blizkim już jest skonu, ale odzyskuje siły i z błękitnymi Andami przed oczyma, dociera do Tukumanu. I tu jeszcze nie kres jego nieszczęść: słyszy znowu to straszliwe: „niéma“. Nie było istotnie Mequinezów w samem mieście, ale byli na wsi. Nareszcie zobaczy matkę—tylko już chorą, prawie umierającą. Ocaliłaby ją operacja, ale co jej po życiu? Dopiero, gdy ją dobrzy państwo przygotowali do wielkiej radości, gdy ta radość w progach izby stanęła, gdy biedna męczennica przekonała się, że to jej syn, jej Marek najdroższe dziecko—podała się pod noż. Syn osładzał jej ostatnie lata życia. Kiedy dziecię do rodzicielki swej dopada, trudno powstrzymać łzę cisnącą się do oka.

Zato ostatniej powiastki miesięcznej: *Na tonącym okręcie*, pochwalić nie można. Jest ona sentymentalna, niezdrowo sentymentalna. Gdyby Maryusz i Julia byli bratem i siostrą,—zgoda na ich przywiązanie, na ofiarę życia złożoną przez chłopca dla dobra dziewczęcia. W istocie przywiązań braterskich tkwi gotowość do takich czynów poświęcenia; bez mazgajskiej czułości, bez bajronowskiej zdrożności uczuć, właśnie jeżeli w czem, to w czynach do rzetelnego dobra bratniej istoty zmierzających, objawiać się powinna prawdziwa przyjaźń, dusza braterstwa. Można bardzo kochać kobietę, można silnie dla niej płonąć, a jednak nie pójść za nią w ogień; ale żaden syn prawy, brat szczerzy, nie zostawi matki, nie zostawi siostry swojej w płomieniach, dopóki jeszcze błyska najłżejsza nadzieja ratunku. Na tej prawdzie doświadczenia osnute opowiadanie miałooby i potężniejszą wymowę dla serc i wyższą literacką wartość. Maryusz, zostający dobrowolnie przy kapitanie statku na zgubę niechcącą, aby ocalić dziewczynkę, którą zna dopiero od dwóch dni, jest nieprawdziwym, a nauka jakaby dać mógł swym skonem—zbyteczną. Kochania uczyć się nie potrzeba, tem mniej *anticipando*: natura sama prowadzi gospodarstwo uczuciowe na tem polu, nigdy nieznajacem ugorów.

Przekład jest starannym, chociaż nie ma ani doskonałej czystości, ani blasku stylistowego. Uchybień przeciwko prawidłom mowy polskiej nie wskazuję szczegółowo; wystarczyć powinno wskazanie stronic. Namysł sam doprowadzi do wyrazów, odmian i wyrażeń niewłaściwych. Dostrzeżone błędy znajdują się na str.: 36, 40, 42, 45, 47, 48, 102, 112, 113, 121, 125, 151, 161, 178, 197, 235, 253, 314, 321, 346, 401 i 403.

Stanisław Krzemiński.

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

Sztuka być zdrowym.

Prof. Mantegazza.

(Dokończenie).

Chorzy na zapalenia stawów powinni od najwcześniejszych lat myśleć o zapobieganiu tej chorobie u swych dzieci. W młodocianym bowiem wieku choroba oddziaływa bardzo szkodliwie na serce t. j. prowadzi często do wady tego organu, która albo przedwcześnie otwiera grób, albo zatruwa życie zarówno samym chorym, jak i otaczającym. Wreszcie zaleca Mantegazza wszystkim skłonny do reumatyzmu:

1. więcej wody, niż wina,
2. więcej owoców, niż mięsa,
3. więcej flaneli, niż płótna,
4. więcej ruchu, niż spokoju,
5. więcej ciepła, niż zimna,
6. więcej alkalicznych, niż innych wód mineralnych,
7. więcej środków higienicznych, niż lekarstw,
8. więcej stałości w małym, niż swobody w nadmiernym,
9. więcej kąpiei błotnych, niż innych.

Zobaczmy teraz jak Mantegazza zapatruje się na „nerwowość“ bieżącego stulecia, i w jaki sposób radzi zapobiegać rozwojowi tego cierpienia.

„Gdybym był zmuszony—mówi autor—określić nasz wiek, nazwałbym go, ze względu na zdrowotność jednostek ludzkich, „wiekiem nerwowym“, ze względu na stan moralności „obłudnym“, a na stan umysłowości „sceptycznym“. I w ten sposób mielibyśmy wiek „nerwowo-obłudno-sceptyczny“. Co prawda, jest to tytuł za nadto pesymistyczny, a nawet, że tak powiem, nie obraz, lecz karykatura, mająca jednakże podstawy w prawdzie rzeczywistości. My Europejczycy—zwłaszcza w wyższych i średnich warstwach ludności, wszyscy dotknięci jesteśmy nerwowością. Otrzymaliśmy ją w spadku, którego pozbyć się można tylko, żyjąc w sposób higieniczny.

„Choroby nerwowe i umysłowe częściej przechodzą w spadku na dzieci po matce, przyczem udzielają się dziewczynom, po ojcu zaś—chłopcóm. Nie zdarza się jednakże, aby choroba nerwowa po rodzicach przechodziła na wszystko potomstwo i szła zawsze w prostej linii. Może pominąć jedno pokolenie, lub też przejść na boczną linię, i to np. tylko na potomków płci męskiej. Wreszcie niewszystkie dzieci muszą je odziedziczyć; wydarza się, że jedno zostaje dotknięte, gdy reszta jest zdrową. Niekiedy też choroba przebiega skrycie, tak np. syn zapada na pewne objawy cierpienia nerwowego, gdy ojciec pozornie jeszcze zupełnie jest zdrow.

„Skłonność do chorób ośrodków nerwowych objawia się nierzadko już w dzieciństwie, bez różnicy czy choroba jest dziedziczną czy nie. Dzieci takie odznaczają się wielką drażliwością i łatwością przechodzenia od radości do płaczu, niekiedy z nich łatwo popadają, skutkiem smutku lub radości, w gniew, lecz wkrótce zmieniają swój nastrój duchowy, stają się wesołymi, aby za chwilę znowu popaść w głęboki smutek. Zdaje się, że wpływy szkodliwe uderzają u nich zawsze w jedne i te same klawisze nerwowe, i jak zmiany temperatury spowodowują w nich nerwobóle, a obecność wnetrzników powoduje konwulsje, słaba zaś nawet gorączka—bredzenie podobnie też działają wpływy moralne.

„Bardzo wiele dzieci, które uważają za zepsute, są raczej „nerwowemi“, i gdyby zamiast je karać, uczono cierpliwości i słodczą grzeczności i posłuszeństwa; gdyby starano się zapobiegać rozwojowi cierpienia, zamiast znęcać się nad nimi—oszczędzonoby z pewnością wielu przykrości w życiu, najpierw tym nieszczęśliwym niewinnym istotom, a później i samym sobie.

„Doprawdy gdy pomyślę, jak często obchodzimy się surowo a nawet brutalnie z dzieckiem, tym wielce złożonym, w budowie tajemniczym kwiatkiem, to po ciele—mówi Mantegazza—przebiega mi dreszcz wstrętu. O nas (Włochach) mówią, że przynosimy z sobą na świat trzy *M* t. j. trochę lekarza, muzykanta i głupca¹⁾. Sądzę, że prócz tych trzech *M* jeszcze wrodzonym w nas jest jedno *P* t. j., że uważamy się za pedagogów i zapominamy, że sztuka wychowywania dzieci jest jedną z najtrudniejszych.

„Ze skłonnością do chorób nerwowych, a raczej do nerwowości, można walczyć pomysłnie, jeżeli tylko rozpoczniemy kampanią dosyć wcześnie. Należy pamiętać, że na systemat nerwowy oddziaływać można dodatnio lub ujemnie, a przepisy

higieniczne, jakim się codziennie poddajemy, stanowią, kropla po kropli, strumyk, rzekę, a nawet—całe morze“.

Wypada jednakże znać owe przepisy higieniczne, aby umieć odwrócić zbytnią drażliwość, która stanowi niejako przedśionek do zapadania na różnego rodzaju choroby nerwowe.

Na pierwszym planie mieć należy *ćwiczenia cielsne, przebywanie na świeżem powietrzu i zimną wodę*. Są to bowiem najlepsi przyjaciele zdrowia; gdy tymczasem kawa i wszelkiego rodzaju pobudzające napoje, jako też inne podniety, są jego strasznymi nieprzyjaciółmi. Rozumie się, że prócz tych podstawowych środków leczenia wszelkiego rodzaju chorób nerwowych, niezbędni jednakże są i inne środki zapobiegawcze. Trzeba jeszcze mieć na względzie zawsze to, że co korzystnem okazuje się dla jednych chorych, może wywierać zgubny wpływ na drugich. Dlatego to,—zaleca Mantegazza—najlepiej kierować się według wskazówek lekarza.

„Zadna choroba—mówi włoski professor—nie jest tak straszną, jak obłąkanie. Co do mnie, (a prawdopodobnie i wielu innych), wołałbym stracić życie, niż rozum. Tu, podobnie jak gdzieś indziej, środki zapobiegawcze odgrywają bardzo ważną rolę, dlatego niezmiernie doniosłą rzeczą jest umieć poznawać objawy zwiastujące zbliżenie się choroby umysłowej. Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę na związek, zachodzący między obłąkaniem a powodującą je przyczyną. Jeżeli np., młoda wrażliwa paniątka utraci swą matkę, to może dostać konwulsji, napadu bredzenia, a czasami może wpaść w obłąd; tego jednakże nie poczytamy za rzeczywistą utratę rozumu; czasowe zaburzenia sfery psychicznej, obserwowane u niej, są bardzo poważne, lecz najzupełniej zgadzają się z przyczyną, jaka je wywołała.

„Drugi raz, przypuśćmy, zauważymy, że młodzieniec zupełnie spokojny naraz staje się zamyślonym, melancholijnym. Po długich poszukiwaniach dowiadujemy się, że młodzieniec ten został obrażony przez przyjaciela w sposób tak błahy, że tego nie podobna uważać za przyczynę *metastrofy*, a pomimo to w tym wypadku niepodobna nie przyznać, że temu nieszczęśliwemu grozi obłąkanie. We wszystkich podobnych wypadkach należy zawsze jaknajwcześniej zasięgać rady lekarza“.

Co do apoplexyi, to, jakkolwiek ona następuje zawsze gwałtownie, jednakże i tu zauważyć można pewne objawy poprzedzające ją i skutkiem tego często można zapobiedz katastrofie.

Wszyscy wiedzą o tak zwanym „wyglądzie apoplektycznym“ charakteryzującym się krótką szyją, otyłością i t. p. Tymczasem wielu podobnych ludzi chodzi po świecie, którzy nigdy nie mieli ataku i nigdy go mieć nie będą, gdy znowu bardzo wielu dotkniętych atakami apoplektycznymi miało szyję długą i nie objawiało nawet usposobienia do otyłości.

Momentem usposabiającym jest tu przede wszystkim dziedziczność, a w każdym razie osoby po latach 50, mające twarde arterye, u których w zewnętrznym kącie oka, przy brzegu błony rogowej, zauważyć można ciemne, białe lub żółtawe kółko, powinny się mieć na baczności. Gdy do powyższych objawów przylączy się senność po każdym jedzeniu, częste zawroty głowy a od czasu do czasu utrata przytomności, leczenie jest nieuniknionem.

Czasami można się najzupełniej uchronić od ataku apoplektycznego, żywiąc się pokarmami roślinnymi, powstrzymując się od napitków wysokowych, zmieniając klimat, biorąc kąpiele gorące na nogi i t. p.

Kto raz był dotknięty atakiem, ten powinien przedsięwziąć wszelkie środki dla zapobieżenia następny, albowiem, na nieszczęście, jest to choroba, która pojawia się kilku powrotami, a po pierwszych już nieraz zapóźno myśleć o jakichkolwiek środkach zapobiegawczych.

A zatem, niema potrzeby żyć w obawie bezustannej, gdy ojciec albo matka umarli na apoplexyę. Zamiast tej obawy, daleko rozsądniej urządzić racjonalny, według wymagań higieny, sposób życia. Na co się przydadzą pociągowi

1) Po włosku: „medico“ lekarz, „musico“ muzykant, „matto“ głupiec.

wszelkie sygnały i czerwone latarnie, w czasie grożącego mu niebezpieczeństwa, gdy ich maszynista nie widzi? Pociąg taki rozbija się z pewnością. Dlaczego?—dlatego, że maszynista nie dojrzał we właściwym czasie tego, co widzieć był powinien.

W dalszym ciągu swej pracy uczony antropolog zastanawia się nad tem: w jaki sposób uniknąć można chorób zaraźliwych spowodowanych różnego rodzaju grzybkami chorobotwórczymi. Ponieważ w całym szeregu artykułów zamieszczonych w ostatnich numerach *Bluszczu*, pod ogólnym tytułem: *Szerzenie się chorób zaraźliwych*, mówiliśmy obszernie o tym przedmiocie, nie będziemy więc tutaj wywodzić naszych powtarzali, przyjrzymy się zaś jeszcze niektórym cierpieniom, którym zapobieganie w większości wypadków znajduje się w naszej mocy.

„Bardzo wielu sądzi — mówi Mantegazza — że choroby skóry zależne są wyłącznie od tego, iż we krwi znajduje się jakiś pierwiastek drażniący, który wywołuje na skórze w pewnym miejscu plamy, pęcherzyki, wrzodzonki i t. p., a które lekarze oznaczyli rozmaitemi nazwami. Najczęściej przypuszczają, że używanie napojów wysokowych, mocnych win, spożywanie wędzonego mięsa i rzeczy korzennych, — bywa jedyną przyczyną powstawania chorób skórnych. Ażeby ich uniknąć, nie pozostaje — według tych mniemań — nic innego, jeno wyrzec się wszystkich tych szkodliwych rzeczy — a potem już można spać spokojnie“.

Jest to bezwzględnie pogląd fałszywy, lecz z drugiej strony przyznać należy, że i nauka jeszcze nie zupełnie wyświeciła przyczyny chorób skórnych. W niektórych tylko wypadkach niewątpliwą jest rzeczą, że pochodzenie ich jest pasywnego charakteru, w innych przypuszcza się niewłaściwe odżywianie skóry, lub zaburzenia w systemacie nerwowym, rządzącym rozprawdaniem soków ożywczych. Rozumie się, że do tego muszą być zastosowane środki zapobiegawcze.

Najlepszym w ogólności środkiem jest czyste utrzymanie naturalnego naszego odzienia, a prócz tego częste kąpiele, natryski, wycierania, dalej troskliwość o normalny stan przewodu pokarmowego i wreszcie nienadużywanie potraw drażniących i napojów pobudzających.

„Zwracajcie zawsze uwagę na żołądek — woła Mantegazza — na ten pracujący warsztat, w którym wyrabiają się te nitki, służące do wytworzenia siatki życia. Doprawdy, że chłop wcale nie jest głupi, gdy powtarza sobie: „Bogu dziękować, kałdan jeszcze zdrów“.

Pozostawiając na stronie wszelkiego rodzaju ciężkie i niebezpieczne choroby żołądka, przyznać potrzeba, że najczęściej spotykamy się tu z zaburzeniami różnego rodzaju, które nazwano ogólnem mianem „niestrawności“.

Mówiąc szczerze, przynajmniej w połowie wypadków sami jesteśmy sobie winni, gdy zapadamy na niestrawność: pojawia się ona albo w skutkiem pędzenia zbyt siedzącego trybu życia, sypania natychmiast po jedzeniu, albo wskutek nadużycia napojów wysokowych i nadmiernej ilości pokarmów. Kto zatem chce uniknąć niestrawności, niech nie popełnia powyższych grzechów, a jako środki pomocnicze zaleca Mantegazza: klimat górski, spokój umysłowy i słaboalkaliczne wody mineralne. Wielu ludzi sądzi, że postępuje właściwie, trzymając się ślepo przepisów higienicznych, chociaż w gruncie rzeczy nie odpowiadają one zupełnie ich stanowi. Tu albo lekarz może tylko decydować, albo też kierować się należy nabytem doświadczeniem i rozsądkiem.

Tak np. są ludzie, którzy, cierpiąc na niestrawność, nie mogą znieść potraw przygotowanych na maśle, chociażby było w jaknajlepszym gatunku: świeże zaś masło z chlebem znośną doskonale, bez szkody dla zdrowia. Tymczasem taki człowiek wyczytuje przepis higieniczny, że w podobnym stanie zdrowia, jak jego, masło świeże jest zabójczem. Wiedząc jednakże z doświadczenia, że mu szkody nie wyrządza, spożywa je w dalszym ciągu w najlepsze. I proszę mi powiedzieć: kto się tu myli, chory czy przepis higieniczny? Naturalnie, ten ostatni.

Zadane może cierpienia nie są tak lekceważone, jak choroby przewodu pokarmowego. Prawda, że bardzo często przemijają one bez pomocy lekarskiej, — pozbawiamy się ich zachowując jedynie dyetę i pijąc herbatę lub jakieś ciepłe ziółka; wypada jednakże pamiętać, że z błahych rzeczy mogą się wywiązywać poważne choroby.

Bardzo wielu ludzi posiada skłonność do zapalenia gardła, nawet skutkiem nie nieznaczających przyczyn. Mówię, gardła, a nie na krtani, ani gardzieli, albowiem powszechnie nazywają gardłem wszystko to, co się mieści poza jamą ustną, bez odróżniania krtani od gardzieli.

Sam przebieg chorób bywa nierzadko powodem niewłaściwego stosowania nazw pojedynczych organów, gdyż np. bardzo często zapalenie migdałów przechodzi na gardziel lub na krtani.

Nie idzie tu jednakże o nazwy; daleko ważniejszą rzeczą dla nas jest to, że gardło bardzo wielu osób okazuje nadzwyczajną wrażliwość na zaziębienie, wystarcza im np. nieznaczne zamoczenie nóg, wreszcie zaśpiewanie jakiegoś „morceau“ albo wypalenie paru papierosów więcej, niż zazwyczaj, aby nazajutrz wstały z bólem albo nawet z zapaleniem gardła.

A jednak podobna wrażliwość gardła może być z łatwością zniesiona zimnemi obmywaniami całego ciała, płókaniem gardła zimną wodą lub roztworem soli Bertholleta (chloran potassu). Gdyby podobne środki nie osiągnęły zamierzonego celu, należy poradzić się lekarza. Ta forma zapalenia gardła, której ulegają migdałki, posiada wielką skłonność do recydywy. Niektórzy zalecają wycinanie tych organów, nie należy jednakże być zbyt skorym w uciekaniu się do tego środka. W niektórych wypadkach w samej rzeczy potrzeba wykonać powyższą operację, lecz ostateczność tę przedsięwzięć się jedynie wówczas, gdy choremu grozi ciężka choroba lub uduszenie, we wszystkich zaś innych wypadkach wystarczają najzupełniej pędzlowania środkami ściągającymi i płókania. „Dwa razy miałem okazję obserwować — mówi Mantegazza — po wycięciu migdałków zmianę w głosie i uporeczywą suchotę w ustach, dręczącą operowanych“.

„Zastanowiliśmy się nad wielu chorobami — mówi dalej uczony senator królestwa włoskiego — lecz jeszcze więcej ich pomineliśmy. Gdybyśmy zechcieli wykażać wszystkie środki zapobiegawcze, we wszystkich chorobach, jakie podaje higiena, wypadłoby całe tomy zapisać.

„Wreszcie, co powiedzieć o takich chorobach jak zapalenie płuc, opłucnej, nerek i w ogólności o wszystkich tych chorobach ostrych, pojawiających się bez wiadomej przyczyny i porywających nas w przeciągu kilku dni z tego świata, który nazywamy padolem płaczu i zgryzania zębów, a z którym tak niechętnie się rozstajemy? Co do nich można tylko nadmienić: gdybyśmy zwracali więcej uwagi na bieg naszych funkcji organicznych, moglibyśmy nierzadko w nich zauważyć takie zmiany i zaburzenia, któreby służyć mogły za zwiastuny zbliżającego się niebezpieczeństwa, nadługo przed wybuchem choroby, i — kto wie — czy wówczas nie dałoby się w zupełności ich uniknąć, zwłaszcza, gdybyśmy we właściwym czasie zwracali się po poradę do lekarzy?

Jakkolwiekby, pamiętać należy, iż ogólnym środkiem zabezpieczającym od chorób, dla których nauka jeszcze nie wynalazła specjalnych środków zapobiegających jest higiena, higiena racjonalna a nie krańcowa, — ta, która nas uczy zwracać uwagę na powietrze, którem oddychamy, — na wodę, którą pijemy, — na pokarmy, które spożywamy, — na odzienie, w które się ubieramy — słowem: na wszystko to, z czem przychodzimy w zetknięcie. Jedynym środkiem ochraniającym od wszelkich chorób jest umiarkowanie w użytkowaniu z tych sił, z których składa się nasz kapitał życiowy, a które codziennie utracamy przez pracę albo marnujemy na przyjemności.

Być silnym albo przynajmniej oszczędzać siły żywotne — to już w pewnym stopniu zabezpiecza od zapadania na zdrowiu. Przeciwnie: być słabym w znaczeniu niemocy — to znaczy być już jakgdyby chorym. Kto tylko na ten wzgląd zwraca uwagę, ten dąży po drodze pewnej do zachowania swego zdrowia.

Oto w streszczeniu pogląd jednego z najznakomitszych antropologów współczesnych, na sztukę zachowania zdrowia. O nabytciu tej sztuki czy umiejętności starać się powinien każdy; osiągnąć ją zaś można, obracając czas używany na naukę np. języka angielskiego albo gry fortepianowej, na czytanie romansów lub przepędzanie wieczorów na miernych dramacikach lub farsach, przynajmniej w pewnej części na badanie funkcji naszego organizmu zdrowego, zmian zaszytych w chorym i tych wszystkich okoliczności, których poznanie może nam dostarczyć odpowiedzi na pytanie: w jaki sposób należy pędzić życie, aby zadość uczynić warunkom wymaganym przez hygienę?

Osiągnąć ten cel można przy pomocy wykładów zbiorowych, albo też przez czytanie dzieł o medycynie popularnej, której literatura u nas z każdym dniem się wzbogaca.

Dr. J. Starkman.

Kronika działalności kobiecej.

— Warszawska Rada Dobroczynności Publicznej przyjęła zapisy testamentowe s. p. Józefa z Rutkowskich Sierakowskiej: dla Warszawy. Tow. Dobroczynności 5.000 rs., dla szpitala dzieciennego 6.000 rs., dla zakładu paralityków 5.000 rs., dla ubogich, wychodzących ze szpitali 5 000 rubli.

— Przytułek dla przychodzących do zdrowia, wzniesiony z funduszu legowanego na ten cel przez s. p. hr. Rozalię Rzewuską, został otwarty przy ulicy Świętokrzyskiej, gdzie posiada na wyłączny swój użytek dziewięć pokoi i kuchnię, podwórze i ogródek. Przyjmuje się tu wychodzących ze szpitala Dzieciątka Jezus tak mężczyzn, jak kobiet osób 30. Początkowo przecież liczba ta ogranicza się do dwunastu.

— Podniesiona przez „Gazetę Radomską“ myśl dobroczynna założenia w Radomiu sklepu pracy kobiecej, ma się wkrótce urzeczywistnić. Grono tamtejszych pań dobrej woli zawiązało komitet, któryby objął zarząd tej wielce pożytecznej instytucji.

— W Lublinie ma się osiedlić przybyła z Paryża, lecz rodem z Lublina, Sara Krendel z zamiarem praktykowania tam felerzerstwa, którego uczyła się w paryżkiej szkole felerzerki. Zającie to, jako praca, odpowiada siłom kobiety, a potrzeba felerzerki daje się nieraz odczuwać przy łóżku chorych kobiet i dzieci. P. Krendel stara się obecnie o pozyskanie prawa praktykowania.

— Zmarła we Lwowie Alina Dobrzańska, dobra aktorka i kobieta energiczna, która czas jakiś była rzeczywistym dyrektorem teatru lwowskiego.

— Z inicjatywy p. Wiktorii Niedziałkowskiej, przełożonej wyższej szkoły dziewcząt we Lwowie, osoby zasłużonej na polu edukacji kobiecej, zawiązało się tamże już lat temu kilka między dawnymi uczennicami szkoły „Kółko wzajemnej nauki i pracy“ a samo nazwanie „Kółka“ już obwieszcza jego zadanie, którego programat brzmi: I-o. Celem „Kółka“ jest wyrobienie charakteru, doskonalenie się przez czuwanie nad sobą i ćwiczenie się w uczynkach miłosierdzia. Kształcenie się przez samodzielną pracę umysłową i doskonalenie w obranym zawodzie. II-o. Członkiem „kółka“ może być każda młoda panna, która, ukończywszy już naukę systematyczną, chce wypełniać obowiązki, przepisane przez regulamin.

Zarząd „Kółka“, który jest wybieranym przez członków, składa się: z przewodniczącej i jej zastępczyni, z sekretarki i jej zastępczyni. Obowiązkiem przewodniczącej jest przewodniczenie zebraniom „kółka“, zarządzanie funduszami, za-

kupowanie książek i udzielanie zapomóg biednym według uchwał zapadłych na zebraniach „Kółka“. Sekretarka ma pod zarządem swoim bibliotekę, wypożycza z niej książki członkom, utrzymuje katalogi i załatwia korespondencje. Wszystkie te obowiązki przewodniczącej i sekretarki obejmują chwilowo zastępczynie w razie potrzeby.

Obowiązkiem członków jest: I-o. Czytać książki treści poważnej i robić z nich wyciągi a w razie uzdolnienia i możliwości wypracowywać na ich podstawie rozprawki popularne. II-o. Obracać sobie jakieś specjalne zajęcie, czy to umysłowe, czy mechaniczne, najlepiej odpowiadające usposobieniu i zdolnościom swoim, a które w razie potrzeby mogłoby być środkiem utrzymania. III-o. Ćwiczyć się w spełnianiu obowiązków miłosierdzia przez wspieranie jednej ubogiej dziewczynki. IV. Znajdować się na zebraniach „Kółka“ w pierwszą środę każdego miesiąca, aby zdać tam sprawę z miesięcznych czynności, odczytać porobione przy czytaniu książek notatki, lub przedłożyć wykonane prace, pomówić o nowych książkach, uchwalić, które z nich należy zakupić do biblioteki „Kółka“ i dać głos co do rozporządzenia funduszami przeznaczonemi na cele dobroczynne. V. Złożyć 1 zł. reński do kasy „Kółka“, na fundusz, z którego jedna połowa zostanie użyta na zakup książek do biblioteki „Kółka“, druga na cele dobroczynne. VI. Nieobecność na zgromadzeniu „Kółka“ powinna być usprawiedliwiona przed przewodniczącą, a jeżeli można, należy zawiadomić o tem uprzednio sekretarkę.

Wobec tych obowiązków posiadają też członkowie i prawa. Mogą korzystać z biblioteki i w ogóle ze wszystkich zbiorów „Kółka“, które są własnością wspólną wszystkich uczestniczących. Dopiero w razie rozwiązania się kółka zbiory jego zostaną, stosownie do uchwały ostatniego zgromadzenia, albo rozłosowane między członków, albo oddane jakiemuś dobroczynnemu lub wychowawczemu zakładowi. Do praw każdej z uczestniczek należy przedstawienie do wsparcia z funduszu „Kółka“ jednej ubogiej dziewczynki; ma ono przytem prawo liczyć na moralne i materialne poparcie wszystkich członków w razie jakiegos wypadku.

Poza tym regulaminem „Kółka“ daje ono członkom swoim już tylko rady w celach wzajemnej nauki i pracy — bardzo piękne, bardzo praktyczne i rozumne, bardzo szlachetne rady, a to:

I-o. Ze wszystkim odnosić się do Boga, ducha swego przed nim korzystać, a podnosić go przez wiarę.

II-o. Wyrabić w sobie wyrozumiałość dla drugich; siebie sądzić surowo i stopniowo doskonalić się we wszystkich chrześcijańskich cnótach.

III-o. Charakteru swego nigdy się nie zapierać, przekonania swe wypowiadać otwarcie, a prawdę przyjmować chętnie i bez obrazy.

IV-o. Nie pomijać żadnej sposobności, która się nastęrczy do wyświadczenia bliźniemu jakiegos przysługi.

V-o. Pracować nieustannie, szukając wytechnienia po pracy umysłowej w robotach ręcznych.

VI-o. Obmyślić plan czynności na każdy dzień w tygodniu i wypełniać go ściśle (o ile się da).

Zgromadzenia miesięczne zbierają się u przewodniczącej. Ponieważ tylko połowa składki członków obraca się na zakup książek, druga idzie na zakup materiałów odzieży dla owych dziewczynek ubogich, uczęszczających do szkółek,

którymi opiekują się uczestniczki „Kółka“ i dla których każda z tych opiekunek szyje sama ubranie, dostarczając obok tego książek szkolnych i materiałów piśmiennych. Jak to wszystko, razem wzięte jest dobrą edukacją serca i umysłu młodych uczestniczek „Kółka“, jak to kształci każdą z nich na dobrą chrześcijankę, na pożyteczną w rodzinie i społeczeństwie istotę poważnej myśli i ciepłego serca — dowodzić nie potrzeba. Żaden chyba poeta nie zawoła na tak przysposobioną do życia: — Kobioto! Puchu marny...

— Zapowiedzinnem jest we Lwowie wyjście w najbliższym czasie ważnego dzieła. „Historia Pedagogii“ przez Maryą Bielską.

— Sprawa Maryi Popelin, Belgijki, która po skończeniu wydziału prawnego w uniwersytecie i otrzymaniu naukowego stopnia doktora prawa, chciała zostać adwokatem, ostatecznie rozstrzygniętą została na jej niekorzyść. Gdy po zdaniu wymagalnego egzaminu państwowego panna ta chciała się zapisać w Bruxelli do zgromadzenia adwokatów, zapisu tego nie przyjęto i cała korporacja rzeczników belgijskich wystąpiła przeciw jej żądaniu. Ona wniosła wtedy skargę przed sądy, przeprowadziła sprawę wytrwale przez wszystkie instancje, aż do sądu kassacyjnego, który również żądania jej usunął na zasadzie, że żaden artykuł kodexu belgijskiego nie upoważnia przypuszczenia kobiety do zawodu obrończego.

— Na kongressach socyalistycznych marxistów i Passibilistów, odbytych w czasie wystawy paryskiej, a na których wśród 357 uczestników znajdowało się tylko dwóch Polaków, uchwalono w zakresie pracy kobiecej te prawa, których mniej więcej żądają wszyscy, a to: zniesienie pracy kobiecej w tych gałęziach, które działają szkodliwie na organizm kobiecy, zniesienie obok pracy nocnej dzieci i pracy kobiet, zrównanie płacy kobiet i mężczyzn. Córka Marxa, Julia, żonata Eweling, spełniała na kongresie obowiązki tłumacza w zakresie trzech języków: angielskiego, francuzkiego i niemieckiego

— Na wystawie fran uzkiej zaznaczyły się wyróżniające wystawy dwóch szlachetnych stowarzyszeń kobiecych, znanych czytelnikom naszego pisma z filantropijnych i patryotycznych — miłością Francji przyjętych dążeń: „Société des dames françaises“, zawiązane w 1879 r. i „Union des femmes de France“ powstałe w 1881 r. Obydwa te stowarzyszenia kobiece wystawiły wszystkie te przedmioty, które w ambulanсах i szpitalach wojskowych znaleźć się powinny dla opatrunku rannych i chorych, przyczem zadeklarowały, że na przypadek wojny mogą natychmiast wysłać w pole armią niewieścią: armią złożoną z dwukroć sto tysięcy kobiet, umięjęcych obchodzić się z chorymi i opatrywać rannych — poświęcać się dla Francji wytrwale na wszelkie braki i niewygody, zahartowanych w ich znoszeniu i pracy. Wystawy obu towarzystw urządzone były w obszernym pawilonie, noszącym nazwę: „Génie Sanitaire“ i tam to, pod godłem: „Honneur et Patrie“ ukazywało się wszystko co według nowoczesnych urządzeń ambulansowych może być potrzebnym dla chorych i rannych. Był tam i namiot, przedstawiający szpital polowy, zaopatrzony we wszelkie udogodnienia, jakie tylko nowoczesny postęp sztuki lekarskiej i chirurgicznej pozwala zaprowadzić w takich lazaretach przenośnych.

Marmurowe popiersie siostry miłosierdzia historycznej pamięci: Anny Biget, a według zakonu Siostry Marty, która towarzyszyła armii francuzkiej w czasie wojen pierwszego cesarstwa i od była wraz z nią okrutną kampanią z 1812 r. —

widniało w pośrodku namiotu, jakoby przedstawiając świętą patronkę wszystkich tych kobiet, które obecnie chcą stanąć w szeregu takich, jak ona, cór Francji, pragnących poświęcić się dla kraju na drodze ofiary rycerstwa cichego. Oba stowarzyszenia: „des dames françaises“ i „union des femmes de France“ używają w ojczyźnie swojej wysokiego szacunku i gdy występują w charakterze swego zgromadzenia, żołnierze obowiązani są tak prezentować przed niemi broń, jak przed Siostrami Miłosierdzia. Zwykle salutują i officerowie.

W oddziale sztuki było wystawczyń przeszło dwieście. Medali złotych przyznano tu cztery. Dwa za malowanie olejne otrzymały: M-me Dumont Breton, Francuzka, za krajobrazy, których przedstawiła pięć, i Angielka, Miss Breslau za portrety; Francuzka, M-me Bertoux, za rzeźbę: dwa posągi: „Psyche“ i „Jeune Fille au Bain“, M-me Carin, Francuzka także, za sześć bardzo pięknych rysunków kredką. Medali srebrnych przyznano jedenaście za malowanie olejne i w tej liczbie jest p. Bilińska, która otrzymała tę nagrodę za swój sławny portret własny; i cztery za portrety robione pastelami lub farbami wodnemi. Szesnaście medali bronzowych przypadło w dziale malowania olejnego, z tej liczby siedm otrzymały Francuzki: medali bronzowych drugiej klasy przyznano za akwarele, za pastele, za rysunki kredką osiem, w tej liczbie cztery artystkom francuzkim. Za rzeźbę przyznano cztery medale bronzowe; jeden otrzymała szwedka Berta Ahlborn, jeden greczynka: Casaretti Zambaco i dwie francuzki: M-me Carin i M-me Thomas Sayer. Pięćdziesiąt sześć wystawczyń otrzymało wzmiankę zaszczytną, w tej liczbie trzydzieści cztery malarki olejne, między którymi wymieniona jest p. Dulembianka; jedenaście malarek pastelowych, farbami wodnemi oraz rysowniczek; rzeźbiarek i rytowniczek na metalach dziewięć.

— Życie i artystyczne stanowisko Rozy Bonheur stanowić będą treść książki, którą jako kolendę otrzymają czytelnicy angielskiego czasopisma: „Art Journal“. Pomieszczone tam będą ryciny z najważniejszych obrazów francuzkiej malarki. Obszerny drzeworyt wykonany zostanie specjalnie do tej publikacji przez Leopolda Flameng, jak i dwa staloryty: „Odpoczynek sarn“ i „Pasterz“. Ilustracyi będzie trzydzieści; życiorys wyjdzie zpod pióra Reneusza Peyrol, szwagra artystki, i ma zawierać bardzo zajmujące a nieznane dotąd szczegóły z jej życia i karyery malarskiej.

— Dentystka z Wilna, p. Homulicka, brała udział w paryżkim kongresie dentystów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dla wszystkich prenumeratorów prospekt dzieła pod tytułem: „Encyklopedia ilustrowana Medycyny i Hygieny popularnej“ D-ra Józefa Starkmana.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: „Nauczycielka“, przez Emmę Marschall.

TREŚĆ: Marya Mitchell przez M. Ilnicką. — Słoneczne strony życia przez M. Ilnicką. — Adjutant króla jegomości opowiadanie z drugiej połowy zeszłego stulecia, napisał Mieczysław Krzywosad-Kepieński. — Przegląd piśmienniczy przez Stanisława Krzemińskiego. — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej. Sztuka być zdrowym. Prof. Mantegazza. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: „Nauczycielka“ przez Emmę Marschall. — Przegląd mód. — 25 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 15 Ноября 1889 года.